



JAKUB
MAŁECKI
DZÓZEF



JAKUB MAŁECKI (ur. 1982)

z zawodu jest ekonomistą, pracuje w branży finansowej, mieszka w Poznaniu. Do tej pory związany z nurtem fantastyki naukowej: debiutował w 2007 roku opowiadaniem **DŁONIE** w magazynie „Science Fiction, Fantasy i Horror”, publikował również w „Nowej Fantastyce”, „Magazynie Fantastycznym” i antologiach. Wydał dwie powieści: **BŁĘDY** (2008) i **PRZEMYTNIK CUDU** (2008) oraz zbiór opowiadań **ZAKSIĘGOWANI** (2009). Był nominowany do Nagrody im. Janusza A. Zajdla za rok 2009.

UNION
OF
NATIONS
OF
THE
WEST



U

N

O

JAKUB

MAŁECKI

1

1

Wydawnictwo
ab

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2011
Wydanie I
Warszawa 2011

Samotność jest ciężkim i nieodzownym warunkiem istnienia.

Joseph Conrad

Najbardziej egzotyczną dżunglą na świecie jest psychika ludzka.

Joseph Conrad

Marcie

Ja, Kurz i Maruda

Najpierw zaprzyjaźniłem się z Kurzem. Sala była czteroosobowa i biło z niej nowością: ściany niedawno odmalowane, sprzęt błyszczący, łóżka nieoblupane jeszcze z farby, nad drzwiami telewizor na dwuzłotówki, a pod stopami lśniąca posadzka – w niej moje odbicie.

Kiedy wtaczałem się, jak zbity pies, do tego pachnącego lekami pomieszczenia, leżało w nim już dwóch facetów. Jeden, niski i przysadzisty, z rzadkimi siwymi włosami, najwyraźniej spał. Drugi nie; był opalony, kiedyś pewnie mocno zbudowany, teraz już trochę obwisły. Na ciemnej klatce piersiowej miał kłęby siwych włosów, które na początku wziąłem za kurz. Stąd ksywa, którą mu nadałem, choć tak naprawdę nazywał się zupełnie nieadekwatnie.

– Leszek Czystecki – przedstawił się, wyciągając dłoń.

– Grzegorz. – Podałem mu swoją. – Grzegorz Bednar.

– Proszę się położyć, o osiemnastej trzydzieści będzie kolacja. – Pielęgniarka, która wsunęła się za mną do sali, przyczepiła do ramy łóżka tabliczkę pociętą gęsto okienkami tabelki, po czym wyszła. Pod fartuchem falowały jej nieapetyczne warstwy tłuszczu, za to fryzurę miała bardziej niż zadbaną.

Takim oto sposobem zająłem łóżko, po prawej mając Kurza, a po lewej okno, za którym zielenił się park.

Leżeliśmy we trójkę, ale gadać można było tylko z Kurzem. Drugi współlokator okazał się facetem pozbawionym zarówno ikry, jak i poczucia humoru.

Nazywał się Heniu Jagiełło i odzywał wyłącznie po to, by marudzić. Zaczynał dzień od krótkiej uwagi, że nie dano mu pospać tyle, ile spać powinien. Wstawał, wkładał kapcie, po czym zaczynał spacerować po sali i cmokać.

Kiedy wjeżdżało śniadanie, jego świdrujący wzrok zahaczał o krzywo ukrojone kromki chleba, myszkował po zbyt małych kawałeczkach masła i z rentgenowską przenikliwością przesuwiał się po wiaderku z niedosłodzoną herbatą.

Każdy, kto choć raz był w szpitalu, dobrze wie, że żarcie jest tu raczej mało wyrefinowane: śniadanie ani obiad jaj człowiekowi nie urwą. No i trudno, szpital to szpital, nikt tu nie przychodzi dla przyjemności, nikt też nie powinien spodziewać się kawioru na śniadanie i kaczkę w jabłkach na podwieczorek. Ale Heniu Jagiełło widocznie się spodziewał.

– Ojej, taki kawałeczek szynki... – marudził, wzbudzając w pielęgniarkach chęć mordy. – I to jeszcze taki suchutki. No nie, tego się przecież nie da jeść...

– Panie Heniu, jedz pan i nie narzekaj – prostował go Kurz. – Takie ładne panie tu do nas przychodzą, miłe i sympatyczne, a pan marudzisz.

Kurz uśmiechał się wtedy zbójecko do kobiet w fartuchach, rozładowywał głupią sytuację i często rzucał przy tym jakimś żartem, a ja nabierałem pewności, że za młodu rwał dupy jak szczaw.

No, ale miało być o Heniu. Więc Heniu, gdy już z wyrazem najwyższej pogardy i nieziemskiego obrzydzenia na nalanej twarzy pożarł swoją porcję, kładł się

na łóżku, by wygłosić kilka zdań na temat tragicznej obsługi, krzywych ścian czy beznadziejnej pogody za oknem. Pomstował na polityków, wyzywając większość z nich od idiotów i imbecyli; debilami nazywał aktorów i piosenkarki, i w każdym, ale to w każdym, umiał znaleźć jakąś paskudną i zasługującą na potępienie cechę.

Często żeśmy z Kurzem specjalnie denerwowali Henia, spierając się z nim i udowadniając, że przecież Doda ma talent i jest diabelnie inteligentna, że Balcerowicz to mądry facet, że deszcz jest potrzebny, a salowa miła w objęciu i słodka jak miód. Wtedy nasz drogi współpacjent, nasz ukochany towarzysz szpitalnej niedoli zamykał się i wściekły jak tajfun na morzu odwracał się do nas plecami, udając, że zasypia w trybie natychmiastowym.

Kurz uśmiechał się wtedy do mnie od ucha do ucha; z czasem nauczyliśmy się też przybijać żółwika po tych słownych potyczkach z Jagiełłą.

Obiad był obiektem znacznie bardziej wysublimowanej krytyki Henia, którego już pierwszego dnia zacząłem nazywać w myślach Marudą. „Cieniutki jak bibułka” schabowy był „nie do przyjęcia”, ziemniaczki „mało ciepłe i niedostatecznie rozdrobnione”, zupka „niemal chłodna”, a kompot „rzadki i prawie niesłodki!”

Dziwiło więc nas, mnie i Kurza, że Maruda, kiedy już skończył codzienną litanię zarzutów pod adresem kuchni, jadł, aż mu się uszy trzęsły.

– Panie Heniu, jak nie smakuje, to ja chętnie zjem – powiedziałem raz, zanim wózek z jedzeniem wyjechał z sali. – Mnie smakuje bez zastrzeżeń. Więc jak? Da pan?

– O, już byś chciał. Tak dobrze to ni ma. Do dupy ten obiad, no ale zjem. Co zrobić...

– Panie Leszku – zwróciłem się wtedy do Kurza. – Mnie się wydaje, że nasz pan Heniu to tak specjalnie droczy się z tymi paniami.

– Że niby co? – fuknął Maruda, a Kurz wyszczerzył się jak dziecko, które dostało właśnie furgonetkę lodów.

– No, coś w tym jest – podłapał momentalnie. – Coś tu jest na rzeczy!

– Pan Heniu po prostu tak się tu lansuje, a potem ciach, ciach i poderwie nam najładniejszą pielęgniarczkę.

– Jasna sprawa – zawtórował mi Kurz. – Jeszcze tu będziemy świadkami romansu, Grzesiu, ja ci mówię!

Maruda zdobył się na jakieś burknięcie, jakiś nieartykułowany dźwięk, mający najpewniej wyrazić absolutny brak szacunku dla dwóch tak grubiańskich osób jak my, po czym wrócił do obiadu i nie odzywał się przez jakieś pół godziny.

Opowiadam o Kurzu i Marudzie, a w ogóle nie wspomniałem jeszcze o tym, jak znalazłem się w szpitalu. Dziury po tabletach, jak to mówią. No więc opowiadam.

Ocknąłem się bez telefonu i z nosem wielkości pomarańczy. Nade mną wisiała pyzata twarz kobiety, która śmiało mogłaby wziąć udział w reality show „Chcę być piękna”.

– Pijany? – odezwał się ktoś z tyłu.

– Jasne, że tak – skwitowała mnie Brzydka i uniosła malowane kredką brwi. – I jeszcze się bił w takim stanie.

Gdybym miał przy sobie alkomat, tobym tej babie pokazał same zera, a potem wepchnął urządzenie w tę jej wielką dupę. Bo jak masz włosy krótsze niż na sześć milimetrów, a na tyłku dres, to jesteś ćpunem, chuliganem i sterydciarzem, a w najlepszym wypadku pijaczną. Jakbym myślał takimi stereotypami, to tę babę, która właś-

nie z pogardą kręciła nade mną głową, musiałbym wziąć na łańcuch i zawlec do obory, bo przecież wyglądała jak krowa.

Ale nie ma się co spinać, przecież coś takiego spotkało mnie nie pierwszy i na pewno nie ostatni raz. Do końca życia nie zapomnę, jak po rozmowie kwalifikacyjnej w Volkswagencie, ubrany jeszcze w garnitur, poszedłem do salonu Orange, gdzie obsłużyli mnie, jakbym był jakimś księciem albo inną bogatą cholerą. Na drugi dzień – telefon znowu się zaciął (swoją drogą to z tymi telefonami Kurz miał świętą rację, ale o tym później) – udałem się raz jeszcze do tegoż salonu. Trafiłem nawet na tego samego pracownika. Tyle że ubrany już byłem na sportowo, spod koszulki wystawał kawałek tatuażu, a cztery pięć na kablu wyraźnie opinało się w rękawku.

Facet dał mi do zrozumienia, że mój telefon ma głęboko w dupie, a mnie kapkę głębiej. Komórkę miałem zostawić na „dwa, góra cztery dni”, może coś się uda, ale nic nie obiecuje i tak dalej.

Ste-re-o-typ.

Grupka ciekawskich rozpływała się powoli, a ja z gumem, pękającą głową i trzeźwiutki jak świnia wstałem i poszedłem na tramwaj. Weronika nie będzie zachwycona ani moją gębą, ani brakiem telefonu.

Następnego dnia zaczynałem pracę w sklepie motoryzacyjnym na Łokietka. Praca jak praca, dziewiąta–siedemnasta, tysiąc czterysta brutto. Wypatroszona z perspektyw i szans na awans. Taki koleś jak ja na nic więcej i tak przecież w życiu nie może liczyć.

Jestem z Pragi-Północ, a tam albo latami wystajesz pod blokiem, zamieniając się w zmęczonego życiem mene-

la, albo próbujesz coś w tym życiu zrobić. Ta druga droga kończy się rozwidleniem: jedno to pierdel, dymanie w dupę i koniec wszystkiego; drugie oznacza, że ci się, szczęściarzu, gówniarzu jeden, udało.

Jestem z mojej dzielnicy, ale tak jakby nie do końca. Chłopaki z Pragi-Północ szczycą się tym, że jedyne teksty, jakie w życiu czytają, to tabelka z ilością białka na opakowaniu ryżu albo wiadomości od dup na Naszej Klasie. Książka to hańba i wstyd, a film bez lektora dla nich nie istnieje. Ja miałem pecha i szczęście naraz, bo moja stara zmuszała mnie do czytania. Pamiętam, że jako dzieciak nie mogłem wyjść przed blok, zanim nie zmordowałem dziesięciu stron czegoś tam. Lektury, *Lalki*, sralki. Przynajmniej byków na dyktandach w podstawówce nie robiłem. Więc niby z Pragi, ale tak jakoś nie całkiem. Wstydziłem się tego czytania przez całe życie i musiałem pod blokiem uważać, bo się, chcąc nie chcąc, nauczyłem wielu mądrych słów, za które by mnie tam wyśmiano.

Dygresja się wkradła. No więc było tak:

Przyszedłem pół godziny przed czasem – chciałem wypaść jak najlepiej, spodobać się szefowi sklepu. Miałem zwracać się do niego per panie Donku. Pan Donek, co za imię, no niech mnie byk wydyma!

Sklep był raczej mały, widać, że jego właściciel to taki przywaciarz za dychę, co dorobił się w pocie czoła i z żelazną perspektywą zawału za kilka lat. Mieścił się ten cały biznes w tak zwanym drewniaku, w tym samym ciągu był jeszcze spożywczak, warzywniak i wypożyczalnia kaset wideo. Ta ostatnia musiała być grubą ściemą, bo na wypożyczaniu kaset to się da zarobić tyle, ile srogą zimą z pudełkiem po margarynie między nogami i z gitarą w łapach.

Pan Donek nosił flanelową koszulę i wręcz niezmiernie się pociał. Olbrzymi bęben rozpychał mu ciuchy, tylko pa-trzeć, jak strzelą guziki.

– Tu masz rejestr towaru, wchodzisz albo przez numer, ale to dopiero jak się wszystkich nauczysz, albo przez nazwę. Cena pojawia ci się automatycznie, o tutaj. Wtedy wbijas to, akceptujesz i drukujesz. Aha, najpierw pytaj klienta, czy faktura, czy paragon.

W tym momencie wszedł pierwszy klient. I aż same-mu nie chce mi się wierzyć, kiedy to sobie przypomi-nam. Pierwszy klient, niech mnie szlag, słuchajcie, jaka historia.

– Dzień dobry – powiedział szef, odwrócił się do mnie i kiwnął głową porozumiewawczo.

Powtórzyłem za nim, klient odmruknął coś i skierował się do półek z olejami. Pan Donek natomiast udał się na zaplecze, zostawiając mnie na pastwę losu.

Klient był wysoki i raczej szczupły, ale widać już było na nim tę warstewkę sadła, która za kilkanaście lat zgru-bieje i zmieni gościa w drugiego pana Donka. Miał takie zakola, że powinien już golić się na łyso; wyglądał dość komicznie.

Okularki na nosie, w ręku brązowa aktówka, lśniące buty, pewnie Gino Rossi. Jego starzy akurat mieli, żeby dać mu na studia.

Postawił baniak oleju na ladzie i wygrzebał z torby portfel. Wszystko stało się błyskawicznie, a ja nie miałem pojęcia, co dalej. Przejechać po butelce czytnikiem, wpisać kod (ale skąd?), wbić cenę na kasę? Wyrzuciłem jedno, co zdążyłem zapamiętać z parominutowej nauki pana Donka.

– Faktura czy paragon?

Rozejrzałem się. Pomocy.

– Paragon... – odparł klient i przyjrzał mi się uważnie. – Co się panu stało?

– Niece... nic. – Uśmiechnąłem się jak najprawdziwszy debil, poczerwieniałem. Pomocy, szefie!

– Mogę? – Klient wyciągał już rękę w kierunku mojego nosa.

Co: mogę? Uszczypnąć w policzek? Pacnąć w oko? Wydłubać babola?

– Jestem lekarzem. – Gość marszczył czoło i gapił się na mnie jak na ciekawostkę przyrodniczą.

– Yyy... ale to naprawdę...

– Chyba złamany.

– Nie. Chyba nie – broniłem się.

– No, tylko zobaczę.

Dotknął, zobaczył. Zabolało jak jasny gwint.

– Złamany – zawyrokował.

– Naprawdę?

W tej samej chwili zobaczyłem, jak pan Donek wychodzi z zaplecza i cały zamienia się w zdumienie. Nie dziwota, pierwszy klient maca mnie po twarzy, pomyślałem.

– Trzeba to nastawić, bo jak tak się zrośnie, to będzie pan miał problemy z oddychaniem, szczególnie podczas snu. Kto wie, czy już się nie zrosło. Kiedy to się stało?

– Wczoraj rano.

Pytając spojrzałem na szefa i już wiedziałem, że dałem dupy, że to koniec mojej pracy w jego sklepie motoryzacyjnym. Była dziewiąta dwadzieścia jeden, nawet nie zdążyliśmy spisać umowy na okres próbny.

Tymczasem klient, który zapomniał chwilowo o swoim nienabytym jeszcze oleju, otworzył aktówkę i wyjął z niej ekwipunek porządnego lekarza w cywilu: biały notesik, pióro i pieczętkę.

– Trzeba się z tym jak najszybciej zgłosić do szpitala, tutaj napiszę panu nazwisko mojego kolegi, który dzisiaj wieczorem ma dyżur w szpitalu przy Wołoskiej.

– Ale to konieczne?

– Proszę pana, ma pan złamany nos, chyba dość poważnie. To jest konieczne. – Facet miał minę, jakby właśnie obdarowywał mnie złotem, a ja tu narzekam. Tyle że nieświadomie właśnie wywalił mnie z pracy.

– Aha... – Na tyle się zdobyłem.

– Wejdzie pan głównym wejściem – mówił klient, bazgrołąc coś w notesiku. – Tam pan da tę kartkę pani w recepcji i ona już pana skieruje do lekarza dyżurnego, doktora Lisa. Naprawdę proszę tego nie lekceważyć.

– A... a jak długo muszę w szpitalu...

– Jeśli chrząstki nie zaczęły się jeszcze zrastać, to może udałoby się po paru dniach już... ale najczęściej to jest tak, że jakiś odprysk źle się ułoży albo tkanki się obleją i wtedy... W najgorszym wypadku to nawet do dwóch tygodni.

Spojrzałem na szefa – miał minę, jakby właśnie zrobił w spodnie. Wiedziałem, że potrzebował pracownika na wczoraj i nie będzie czekał dwóch tygodni.

Chwilę później obsłużony już przez pana Donka facet opuścił sklep z baniakiem oleju.

– Ja naprawdę nie mam złamanego tego nosa – powiedziałem.

Pan Donek zachował się w porządku. Co prawda musiałem pracować do końca dnia, żeby mógł sobie jakoś wszystko zorganizować, ale przynajmniej okazał się człowiekiem. Zapłacił mi podwójną dniówkę, nie podpisaliśmy żadnych papierów, życzył powodzenia i poklepał

po plecach, mimo że doskonale wiedziałem, jak bardzo jest zły.

A wieczorem pojechałem do szpitala.

Zanim na dobre zdążyłem rozejrzeć się po recepcji, tłuśta raszpla wzięła mnie w obroty. Kazała wypełnić jakiś formularz, zadzwoniła gdzieś, potem znowu, aż wreszcie popędziła ze mną długim korytarzem, gdzie było dużo ludzi i każdy, co do jednego, spoglądał na mnie jak na pierwszej wody debila.

Kto wie, jak boli złamany nos, powinien się cieszyć, że nie spotkał doktora Lisa. Gdybym czekając pod drzwiami jego gabinetu ze zdjęciem rentgenowskim, wiedział, co nastąpi, kiedy wejdę do środka, gnałbym stamtąd sprintem jak najdalej.

Doktor Lis miał czarną czuprynę skrzypka wirtuoza i szczery szeroki uśmiech.

– Niech pan siada – powiedział znad kartek.

Usiadłem.

– No dobrze, ja wszystko o panu już wiem, ale proszę powiedzieć. Co dolega?

Wskazałem na nos.

– Zdjęcie?

Położyłem. Uśmiechnął się jakoś tak pobłaźliwie.

– Złamany. Głowa nie boli przypadkiem? Możliwe, że pan ma wstrząs. – Znowu uśmiech. Kretyński, dodajmy. – Zobaczymy najpierw, co z tym nosem.

No i zobaczył, niech go diabli! Pomyślałem wtedy, że doktor Lis powinien szkolić sadystów.

Złapał mnie za bolący, rozwalony i napuchnięty nos, po czym pociągnął w dół, szarpnął w górę i na boki. Zawyłem.

– Jeszcze chwilę.

Otworzyłem usta, by powiedzieć: Bardzo śmieszne. Chciałem wyć, że nie, że starczy, że jak jeszcze chwilę, to ja tu umrę z bólu.

Kichawa promieniowała bólem na całą twarz i głowę, czułem, że odpływam. Doktor Lis włożył rękawiczkę i wepchnął mi dwa palce do nosa. Jak nietrudno się domyślić, zaczął nimi szarpać i wysyłać w moje ciało kolejne wiązki bólu.

Skończył, puścił i wstał, a ja, oddychając ciężko, zobaczyłem, że jego gabinet się przechyła. Że leci na mnie w zwolnionym tempie, jak w jakimś tanim filmie. Zgniecie mnie, za chwilę mnie zgniecie... Przeniosłem wzrok na doktora Lisa, powolutku podnoszącego słuchawkę telefonu.

Wstyd. Wstyd jak ja nie mogę.

Zemdleć u lekarza...

Doktor Lis ocucił mnie i wyjaśnił, że chciał nastawić nos ręcznie – to pozwoliłoby uniknąć operacji – ale okazało się, że jakaś tam chrząstka zaczęła już najwidoczniej obrastać inną chrząstką, a na dodatek kawałek kości odłupał się i należy go wsadzić na jego dotychczasowe miejsce. Długo nawijał o tym, co mi będą robić, ale nie słuchałem – najważniejsze, że straciłem robotę, zanim na dobre ją zacząłem. „Trzeba będzie operować”, podsumował rozmowę takim tonem, jakim się mówi: „Poproszę tamtego ogórka”, albo: „Przełącz, Krystyna, na Polsat”. Nie dali nawet pojechać do domu. „Dostanie pan piżamę i wszystko, co potrzebne”.

Potem od razu zapakowali mi kilka pigułek, musiałem też pogadać chwilę z jakimś brodatym jegomościami, który był tak spokojny, że aż wkurwiający. Pytał o bzdury